TYDZIEŃ

KULTURALNO-LITER. DODATEK ›GŁOSU NARODU‹

Rok III — Kraków, niedziela, dnia 1 maja 1938 r. — Nr 18

Dr Em. Ostachowski

Czy można metale nieszlachetne zamieniać w złoto?

WIERZENIA ALCHEMIKÓW.

Zagadnienie zamiany metali nieszlachetnych w złoto przewija się przez całe wieki dziejów ludzkiej kultury. Jest ono „tak stare jak świat". W najrozmaitszy sposób starano się to zagadnienie rozwiązać i poświęcano mu olbrzymią ilość pracy i zabiegów. Wszak cała alchemia, której dzieje liczą przeszło tysiąclecie, zajmowała się prawie wyłącznie tym problemem. Sądzono, że przy pomocy prostych zabiegów chemicznych jak rozpuszczanie ciał stałych w cieczach, strącanie osadów, ogrzewanie, zagęszczanie, parowanie i t. p. uda się zamienić jedne ciała w drugie a przede wszystkim metale nieszlachetne w złoto. Aż do końca XVII wieku panowała wśród alchemików wiara, że możliwą jest rzeczą dokonanie podobnych transmutacyj przy pomocy tych środków, jakimi rozporządzano i jakie wymieniliśmy. Alchemicy dawali wyraz tej swojej wierze w licznych pismach mniej lub więcej jasno sposób owej przemiany przedstawiających. Jedni z nich poszukiwali „tynktury", przy pomocy której można zamieniać metale nieszlachetne w złoto, inni szukali „kamienia mądrości", którego tajemnicza siła miała powodować odrazu zamianę wielkich ilości ołowiu, srebra czy rtęci w złoto. Wiarę tę podtrzymywała wśród alchemików szczególnie ta okoliczność, że rzeczywiście przy pewnych reakcjach chemicznych można otrzymać ciała, które wyglądem swoim łudząco przypominają złoto. Na przykład przez stapianie szeregu takich substancyj, jak: cyny, siarki, salmiaku, rtęci i t. p. można otrzymać rzecz, która posiada zewnętrzny wygląd złota. Dzisiaj, kiedy mamy do dyspozycji znakomite środki chemicznej analizy, możemy bardzo łatwo rozwiać takie złudzenia i wykazać, że to co ma wygląd złota, może złotem nie być. Jednak w epoce panowania alchemii takich środków nie posiadano i dlatego tak długo utrzymywało się złudzenie alchemików o możliwości zamiany metali nieszlachetnych w złoto. Dopiero z początkiem XVIII wieku rozwój krytycznego przyrodoznawstwa obalił naiwne wierzenia alchemików, a rzetelne usługi nowemu postępowi wiedzy oddali fizycy i chemicy Boyle, Stahl, Lavoisier, Dalton i inni.

ZASADA NIEZMIENNOŚCI PIERWIASTKÓW.

Dzięki pracom tych i szeregu jeszcze innych uczonych doszło ostatecznie do tego, że w wieku XIX wyniesiono do godności prawa chemicznego zasadę niezmienności pierwiastków. Prawo to wykluczało mniemanie, jakoby każdemu ciału za pomocą odpowiednich czynności fizyko-chemicznych można było udzielać dowolnych właściwości. Można zatem było twierdzić, — co zresztą i dzisiaj jeszcze jest słusznym — że przy pomocy takich łagodnych środków, jakimi posługiwali się alchemicy w dążeniu do swojego celu nie można zamieniać metali nieszlachetnych w złoto. Zasada niezmienności pierwiastków utrwaliła się na zasadzie olbrzymiej ilości doświadczeń, wykonanych przez chemików, które doprowadziły do stwierdzenia, że w świecie istnieje tylko pewna określona ilość zasadniczych, podstawowych ciał chemicznych, które mogą działać wzajemnie na siebie w najrozmaitszy sposób. Ciała te są jednak nierozkładalne i w żaden sposób nie można jedne zamieniać w drugie. Nazwano je pierwiastkami. Liczba ich wynosi 92. Każdy pierwiastek składa się z atomu, który łączy w sobie wszystkie własności chemiczne i fizyczne danego pierwiastka. Na przykład bryłka pierwiastka złota składa się z niesłychanego mnóstwa atomów, a wszystkie one posiadają w sobie charakterystyczne cechy złota. Twierdzono zatem, że atom jest czymś stałym, niepodzielnym i że wykluczona jest jakakolwiek zamiana jednego atomu pierwiastkowego w inny atom pierwiastkowy. A zatem nie można atomu złota zamienić w atom innego metalu i naodwrót.

ZŁOŻONA BUDOWA ATOMU.

Ale już w bieżącym wieku okazało się, że atom nie jest tak prostym, jak się dawniej zdawało. Nie wchodząc w szczegóły bardzo skomplikowanej i trudnej do popularnego przedstawienia budowy atomu, można najogólniej powiedzieć, że zasadniczo składa się on z jądra atomowego, zajmującego niesłychanie małą przestrzeń i opatrzonego ładunkiem dodatniej elektryczności. Koło tego jądra rozpostarta jest powłoka atomowa o ujemnym ładunku elektrycznym. Nadzwyczaj interesujące jest wzajemne ustosunkowanie się tych części składowych. Okazuje się, że gdyby można było sobie wyobrazić średnicę atomu, mającą stumilionową część centymetra długości, to jądro atomowe samo jest dziesięć tysięcy razy od tej średnicy mniejsze. Obrazowo można to tak przedstawić. Gdybyśmy w pokoju przedstawiającym jak gdyby wymiary atomu zawiesili w środku główkę szpilki, która wyobraża jądro, w takim razie to co ma być powłoką atomową, będzie wypełniało resztę przestrzeni pokoju. Na budowie atomu widać zatem, że materia nie jest rozmieszczona zwarcie i zbicie, tylko że ma budowę nieciągłą. Zazwyczaj niektóre zjawiska chemiczne obserwowane na atomie odbywają się wyłącznie na jego powłoce. Można je wywołać pewnymi zewnętrznymi działaniami, które doprowadzą do jakichś skutków dających się zauważyć jak na przykład wytwarzanie ciepła, elektryczności i t. p. Ale gdybyśmy pragnęli dany atom naprawdę zaatakować, zburzyć jego budowę, spowodować jego zmianę a nawet zamianę w inny, trzeba by sięgnąć do jądra atomowego. Jest to jednak nadzwyczajnie trudne, ze względu na niezmiernie mały jego wymiar.

ROZBICIE ATOMU.

Jednak znalazł się uczony, który w roku 1919 dosięgnął jądra atomowego i rozbił je. Był to fizyko-chemik angielski, laureat Nobla z r. 1908 lord Ernest Rutheford. Jako środków bombardujących użył cząsteczek alfa, wysyłanych przez ciała promieniotwórcze. Rozbijając tymi nabojami atomy pierwiastka azotu otrzymał atomy pierwiastka wodoru, a więc dokonał transmutacji, czyli przemiany jednego pierwiastka w drugi. Równocześnie prawie podjęli się tej pracy państwo Joliot (P. Joliot, córka Marii Skłodowskiej-Curie) i spostrzegli, że ostrzeliwując cząstkami alfa niektóre metale, jak aluminium, magnez, można otrzymać nowe substancje zbliżone do znanych pierwiastków, czyli tak zwane izotopy, które posiadają własności promieniotwórcze. Z magnezu w ten sposób bombardowanego dał się otrzymać promieniotwórczy krzem. Pociągnęło to za sobą szereg dalszych odkryć nad rozbijaniem atomów i wzbudzaniem sztucznej promieniotwórczości. Tak na przykład włoski uczony Fermi rozbił 45 ciężkich atomów pierwiastkowych, między innymi złoto i iryd, ostrzeliwując jądra atomowe tych pierwiastków pociskiem zwanym neutronem.

Nie wdając się bliżej w te zawiłe zagadnienia stwierdzimy tylko, że wskutek prac Rutheforda, małżonków Joliot, Fermiego i innych badaczy, doprowadzono do obalenia zasady niezmienności pierwiastków, która jeszcze przed trzydziestukilku laty była kanonem w nauce chemii.

CZY SIĘ ZAMIANA METALI NIESZLACHETNYCH W ZŁOTO „OPŁACA"?

Na zakończenie odpowiemy na pytanie postawione w tytule. Teoretycznie i zasadniczo otwartą jest droga, prowadząca do zamiany jednego atomu pierwiastkowego w drugi. Gdyby się udało znaleźć jakąś prostą formułę dotyczącą reakcji jądra atomowego, w której z jednej strony mógłby występować metal nieszlachetny, a z drugiej jako produkt reakcji mogłoby się pojawiać złoto, wtedy dopiero można by mówić o „praktycznej" zamianie jednego metalu w drugi. Dzisiaj jeszcze tak twierdzić nie można. Produkty bombardowania jąder są niesłychanie małe, wystarczają zaledwie na ścisłą obserwację w laboratorium. Stwierdzono bowiem, że ledwie 10-milionowa część wstrzelonych cząsteczek alfa powoduje pożądaną reakcję jądra. Inne cząsteczki alfa albo nie trafiają w jądro, albo ulegają zderzeniom elastycznym, nie wywołując pożądanego skutku. Rachunkiem wykazano, że w obecnych warunkach należałoby czekać ponad miliard lat na to, aby cząsteczki alfa, wysyłane z kilku gramów radu zamieniły jeden gram nieszlachetnego metalu w złoto. Inne metody zbliżone w zasadzie do opisanych w obliczeniach skróciły ten czas do 30.000 lat. Metody te wprowadzili angielscy fizycy Cockcroft i Walton tudzież niemiecki fizyk Kirchner w r. 1932. Koszta podobnego eksperymentu, jak obliczyli ci ostatni, gdyby to bombardowanie trwało przez ten drugi okres czasu, doszłyby do 200 milionów złotych.

Odkrycie tedy faktu możliwości zamiany jednych pierwiastków w drugie, a więc i metali nieszlachetnych w złoto, odrazu związało się z przeświadczeniem o jego praktycznej nieprzydatności. Zatem wierzenia alchemików jeszcze w zupełności spełnić się nie mogą.

A. Adelmannowa

Preludium

A kiedy ręce kładziesz na klawisze,
Melodię gwiezdnych sfer — słyszę,
Widzę kolorowe tęcze, jasne, spokojne,
I błyski słońca w granatowej chmurze,
I jakieś ognie błędne — może święte
I widzę, że masz kwiaty w ręce,
Rzucasz je na klawisze,
Kwiaty jeszcze z rosą — świeżo ścięte.
Że mówisz do nich — —
Słyszę!

Dr I. Pagaczewski

WIOSNA A GWIAZDY

Nastała wiosna w całej swej krasie. Po długim oczekiwaniu nadszedł nareszcie czas, że po całodziennej pracy możemy, bez obawy zmarznięcia, udać się na przechadzkę za miasto. Zdarzyć się może, iż w drodze powrotnej zaskoczy nas zmrok i wypadnie nam wracać do domu przy świetle gwiazd lub księżyca. Wówczas, choćby niechcący, wzrok nasz padnie na zasypany gwiazdami nieboskłon. Miło jest orientować się na niebie, znać nazwy i wygląd licznych konstelacyj, na które podzielili sferę niebieską już starożytni. Znajomość taką nietrudno osiągnąć z pomocą jakiejkolwiek mapki nieba (bardzo dogodną mapkę nieba wydał niedawno poznański oddział Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii).

Chyba każdy wie, jak wygląda

Wielki Wóz,

tworzący część konstelacji Wielkiej Niedźwiedzicy. Posłużyć nam on może za klucz do odszukania wszystkich innych gwiazdozbiorów. Przedłużmy mianowicie linię łączącą dwa „tylne koła" Wozu pięciokrotnie, a natrafimy na Gwiazdę Biegunową w Małej Niedźwiedzicy. Gwiazda ta oddalona jest tylko o 1 stopień od północnego bieguna nieba, toteż w ciągu doby zatacza dokoła tego ostatniego tak małe koło, iż trudno ruch ten zauważyć bez pomocy narzędzi pomiarowych. A teraz przedłużmy załamany dyszel W. Wozu, zachowując właściwe mu zakrzywienie. W odległości równej (w przybliżeniu: podwójnej długości dyszla) natrafimy na piękną pomarańczową gwiazdę. Jest to

Arktur,

najjaśniejsza z gwiazd Wolarza. Jest on jedną z bliższych gwiazd stałych, gdyż odległość jego nie przekracza 40 lat świetlnych. W przestrzeni mknie Arktur z szybkością 130 km na sekundę. Jest to gwiazda-olbrzym; średnica jej, zmierzona w obserwatorium na Mount Wilson, przewyższa 29 razy średnicę naszego słońca, objętość natomiast więcej niż tysiąckrotnie.

Nieco bardziej ku wschodowi zdołamy zapewne rozróżnić malutki ale prześliczny gwiazdozbiór

Korony Północnej,

którego 7 najjaśniejszych gwiazd ułożonych w regularne półkole, przypomina swym kształtem diadem. Najjaśniejsza z nich, środkowa, nosi nazwę Gemmy.

Na wschód od Wolarza i Korony znajduje się rozległa

konstelacja Herkulesa.

Z pomocą dobrej lornetki polowej można znaleźć w niej bardzo piękny obiekt: kulistą gromadę gwiazd. Składa się na nią kilka tysięcy gwiazd skupionych na powierzchni nieba znacznie mniejszej od tarczy księżyca w pełni. Odległość tej gromady od ziemi wynosi 33.000 lat świetlnych, tzn., że tyleż lat musi biec promień świetlny (z szybkością 300.000 km na sek.), aby dotrzeć do naszego oka.

Jeżeli będziemy w dalszym ciągu przedłużać łuk dyszla Wielkiego Wozu poza Arktura, natrafimy znów na jasną, białą gwiazdę; tym razem jest to

„Kłos Panny",

świecący w rzeczywistości około 1000 razy jaśniej niż nasze słońce.

Wysoko nad południowo-zachodnim horyzontem odnajdziemy wielki i piękny gwiazdozbiór Lwa z jasną, pierwszej wielkości gwiazdą, Regulusem. Nisko nad południowym horyzontem z oparów przyziemnych wyłania się piękny

Niedźwiadek z Antaresem.

Ten ostatni jest jedną z największych znanych nam gniazd; pod względem objętości przewyższa on słońce 100 milionów razy. Nie jest to liczba hipotetyczna: średnicę Antaresa wymierzono wprost za pomocą interferometru, jest ona 450 razy większa od średnicy słońca. Gdyby środek słońca umieścić w środku tego olbrzymiego, gazowego globu, to w jego wnętrzu zmieściłyby się orbity Merkurego, Wenus, Ziemi i Marsa.

* * *

Z planet upiększy bardzo wieczorne niebo wiosenne Wenus. Już obecnie można ją dostrzec wczesnym wieczorem na jasnym jeszcze niebie, wkrótce po zachodzie słońca; im później, tym piękniej i dłużej będzie ona świecić. Wkrótce w pobliżu Wenus znajdzie się Mars, słabszy od niej 40 razy. W dniu 7 maja obie planety przesuną się bardzo blisko siebie. Mars świecić będzie swym pomarańczowym blaskiem tuż pod wspaniale błyszczącą Gwiazdą Wieczorną. W dniach 1 i 31 maja w pobliżu Wenus przesuwa się sierp nowego księżyca.

Coraz wcześniej wschodzi piękny, majestatyczny Jowisz; przy końcu maja już ok. 1 g. po północy. Saturn wschodzi na niebo jeszcze później, mniej więcej na godzinę przed wschodem gwiazdy dziennej.

Na dzień 14 maja przypada całkowite zaćmienie księżyca, które jednakże, niestety, nie będzie widoczne w Europie. Również nie możemy być świadkami całkowitego zaćmienia słońca w dniu 29 maja, gdyż stożek cienia księżycowego natrafi na Ziemię w najbardziej południowych częściach Oceanu Atlantyckiego.

Dr Jan Magiera

Macierz Słowacka w 1937 roku

Słowacy za rządów madiarskich mogli ujawniać swoją żywotność narodową jedynie w słowie pisanym, w szczupłej prasie periodycznej i niewielu wydawanych książkach. Od chwili jednak wskrzeszenia „Maticy Slovenskej" już za republiki czechosłowackiej, naród, poczuwszy się wolnym, wykazuje bardzo szybko rozwój kulturalny, — szybszy, niż rozwój innych narodów, gdyż nadrabiać musi wielowiekową bezczynność przymusową. Tempo zaś wzmożonej pracy najwyraźniejsze jest w działalności „Macierzy" w Turczańskim św. Martinie.

Instytucja ta posiada 31.231 członków, w tym 687 założycieli i 679 wspierających. Wzrost liczebny w roku ostatnim wyraził się liczbą 1084. Członkowie zwyczajni za wpłatą roczną 20 koron (niespełna 4 zł) otrzymują bezpłatnie miesięcznik „Slovensko" i wydawnictwa książkowe. „Matica" opiera się finansowo na składkach członkowskich, bo subwencje rządowa i krajowa bardzo nikłe, a pomoc miast też nie nazbyt wydajna.

„Matica" liczy na niezawodną ofiarność społeczeństwa, i dotąd się nie zawiodła. Pod budowę domu administracyjnego i na składnicę wydawnictw zakupiła parcelę za 76.691 koron. Nie mogąc w swym gmachu pomieścić już biblioteki, przystępuje do wzniesienia osobnego gmachu dla Biblioteki Narodowej — **„Narodnej Kniżnicy Slovenskej".** Poważnej pozycji dochodowej spodziewają się Słowacy z rozprzedaży ślicznego albumu „S l o v e n s k o" (po 200 kor. za egzemplarz).

Pracę „Macierzy" poznać chce każdy, kto jeno do Św. Martina zawita; toteż w roku ubiegłym gości tu było ponad 10.000 osób. Ta słowacka akademia pracuje w wydziałach: językowym, historycznym, literackim, etnograficznym, artystycznym i pedagogicznym. Osobne grono ludzi gromadzi materiały słownikowe do wielkiego nowoczesnego słownika. Książnica otrzymała w ub. roku 2906 dzieł w darze, 360 wymiennie, a w drodze zakupna zdobyła 160. Czasopism naukowych ma 446. Wypożyczających było 3660 osób, które wypożyczyły 11.381 tomów.

Najbardziej rzuca się w oczy wydawnicza działalność „Macierzy". Stwierdzono, że jedna trzecia całej produkcji literackiej w Słowacji przypada na wydawnictwa „Maticy". Naukowe **„Sborniki"** zawierają prace pierwszorzędnej wartości; współpracują w nich ze Słowakami uczeni z całej Europy. „Matica" wydaje niezwykle (w oczach Polaka) poczytny miesięcznik **„Slovenska Recz"** (odpowiadający naszemu „Językowi polskiemu", żałącemu się na małą poczytność). Wydział językoznawstwa wydał pomnikowe dzieło **Bernolaka — „Dissertatia..."**, i zorganizował badanie i opisywanie gwar ludowych, udzielając na ten cel stypen-

---

K. M. Morawski

Z dawnych wspomnień [1]

11 czerwca 1923 r. wezwał mnie w Krakowie, do pałacu „pod Krzyżtoforami", Wincenty Witos. Desygnowany, czy aktualny już premier owego „rządu narodowego" zrobił mi nie całkiem jeszcze konkretną propozycję, abym przy boku jego w Prezydium Rady Ministrów objął stanowisko „naczelnika wydziału prasowo-politycznego". Propozycję swoją motywował przywódca chłopski pragnieniem, aby, przy mojej pomocy, wytworzyć stronnictwo agrarne, w którym, jak się wyraził, „byłoby miejsce i dla mnie (dla Witosa) i dla hrabiego Zdzisława Tarnowskiego".

Propozycję Witosa przyjąłem do wiadomości z najżywszą radością. Grały bowiem zapewne podświadomie we mnie — mieszczuchu — też same wtedy struny, w które z takim **brio**, jako też siłą przekonania potrafili niegdyś uderzać duchowi nasi antenaci, czcigodni **patres** stronnictwa krakowskiego.

Wystarczało mi otworzyć pisma Popiela, aby się dowiedzieć, że

„patrząc na upadek wolny, ale ciągły żywiołu obywatelskiego (przyszedł był)... do przekonania, że przyszłe losy społeczności naszej spoczywają na tym, co nazywamy: chłop polski..."

Dalej zaś czytałem u niego:

„Co do mnie, zbliżywszy się do znacznej liczby z pomiędzy nich (włościan), znalazłem zdrowie rozsądku i prostotę serca, wiarę silną i poczucie tych praw moralnych i organicznych, bez których ludzka społeczność ani się rządzić ani zakwitnąć nie potrafi, co mnie utwierdza w dawno powziętym przekonaniu, że społeczność nasza tyle sterana, zwątlona, zatomizowana w wyższych warstwach, z tego zdrowego tylko jeszcze rdzenia żywotne latorośle puścić potrafi". (Pisma, I. 129 i 159—60).

Wystarczało mi dalej zajrzeć do pism politycznych Tarnowskiego, przejrzeć mianowicie słynny jego pamflet „Porcje", aby przekonać się, jak „liberalne" (w najlepszym, najszerszym tego słowa znaczeniu) było „nastawienie" tego wielkiego konserwatysty w stosunku do sprawy włościańskiej.

De facto stać się miałem w chwili obecnej pośrednikiem pomiędzy „żywiołem obywatelskim" a „chłopem polskim"; toteż krakowski „Związek Ziemian", z którym Stronnictwo Zachowawcze w luźnych, nieoficjalnych pozostawało dotychczas stosunkach, zainteresował się żywo nominacją moją i przeprowadził nawet w gronie sympatyzujących z nami swoich członków, formalne głosowanie nad zagadnieniem, czy radzić mi objęcie danego stanowiska czy odmowę na propozycję Witosową. Rzecz przy tym charakterystyczna, że za poparciem (w mojej osobie) dla rządu Witosa głosowali hurmem najgorliwsi później „belwederczycy" spod znaku Dzikowa A. D. 1927", rezerwę zaś t. j. powstrzymanie się od wyrażenia zgody na objęcie proponowanej mi placówki, doradzał mi jedynie najserdeczniejszy mój przyjaciel, Hieronim Tarnowski.

* * *

Rozpocząłem zatem urzędowanie w pięknym Pałacu Radziwiłłowskim **wel** Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Lato było wyjątkowo skwarne, więc tych kilka miesięcy, które przebyłem wówczas w stolicy, rozżarzonej nie tylko naturalną spiekotą, „dnia upalenienm", ale i bardziej dopiekającym opinie namiętności ludzkich, pozostawiło mi przedsmak Gehenny czyścowej.

Nie powiem wszakże, by te miesiące, spędzone przy „wielkim ołtarzu" władzy, spraw i wpływów, by ta **vanitas vanitatum** mędrca męża stanu, nie miała była dla mnie również i szczególnego uroku; że miała go też ona i dla innych, świadczy krew wylana później w pogoni za jej mirażem, na placach i ulicach Krakowa i Warszawy.

Ten piękny pałac, świadek niegdyś warszawskich wczasów księcia „Panie-Kochanku", asambli u **Madame** Zajączek, narad u „Księcia warszawskiego", odnowiony — jak głosił napis — „w roku przywrócenia Legionów", ze swoimi tarasami parkowymi, spuszczającymi się stromo ku Wiśle i tarasą fasady tylnej, na której — w ciszy ogrodowej najłatwiej było odbywać poufne rozmowy, był odpowiednim tłem **Poloniae restitutae**.

Oto wyszedł właśnie na rzeczony taras Win-

[1] Jest to wyjątek z IV rozdziału „Pamiętników", które ukażą się w jesieni nakł. Księg. św. Wojciecha. Autor pragnie się zastrzec, że w dalszym ich ciągu odnosi się krytycznie do polityki niejednego ze współpracowników Witosa, podzielając w szczególności pogląd wyrażony niedawno w prasie o silnym przenikaniu do „elity ludowcowej" wpływów masońskich, nie dostrzeganych często przez emocjonalnych entuzjastów haseł demokratycznych.

diów studentom i profesorom.

Historycznemu Wydziałowi zawdzięczają Słowacy wydanie **dziejów powstania z r. 1848/49** dra **Rapanta** (w 8 tomach) i dwu dzieł archeologicznych

Szeroki zakres wydawniczy miał Wydział Literacki: poza miesięcznikami **„Slovenske Pohl'ady“** i popularnym **„Slovensko“** wydał 10 tomów Vajanskiego i Hviczdoslava, 9 książek w „Kniżnicy Stow. Pohliadov“, 16 tomów Czytań dla młodzieży szkolnej (opracowane jak polska Biblioteka Narodowa) i 2 przekłady: „V puszti a v pralese“ Sienkiewicza i „Nevesta z Lammermooru“ Scotta. Najmłodszy Wydział Pedagogiczny ma dwa kierunki pracy; dla wychowawców: **„Pedag. Sbornik“** i **„Spisy“** czyli Materiały do dziejów oświaty; dla wychowanków zaś pisemko **„Slnieczko“**, 10 tomów lektury, w której z polskiego udostępniono im poznanie **„W pustyni i puszczy“** Sienkiewicza i **„Velmi divne rozpravky“** Makuszyńskiego. Robota wre: gromadzą książki i materiały dla przyszłego muzeum pedagogicznego, budują młodzież, sposobią podręczniki i pomoce naukowe.

Etnografia „Maticy“ jest wieloraka: zbiera się pieśni ludowe, fotografuje się ważniejsze momenty życia słowackiego, filmuje się życie amerykańskich rodaków, organizuje odczyty i wydaje się poza organami naukowymi popularne książeczki o treści krajoznawczej (7 tomików).

To nie wszystko...

Pod protektoratem „Macierzy“ rozwija się „Centrala słowackich robotniczych teatrów“, która w r. 1937 urządziła w 12 miejscowościach zawody dramatyczne i kursy reżyserskie dla 999 słuchaczy. „Matica“ i tutaj wykazuje dużą inicjatywę. Wydaje **„Divadelną Kniżnicę“** — mającą już 31 tomików dramatycznych utworów, wydaje **„Nasze Divadlo“**, miesięcznik teatroznawczy. Przy jej pomocy Związek ochotniczych teatrów zdołał zwiększyć swą szatnię o 2543 sztuk kostiumów w cenie 31.000 kor., a w ciągu roku mógł wypożyczyć 348 zespołom 3500 przedmiotów scenicznych, głównie kostiumów.

Wydawniczą działalność „Macierzy“ za rok 1937 charakteryzują następujące liczby: 62 dzieł wydanych w 65 tomach i 8 roczników czasopism o 14.146 stronach w 276.880 egzemplarzach. W pierwszym kwartale b. r. wydała Macierz już 18 tomów treści różnorodnej, od naukowej (jak **Skutila — „Paleolitikum Slovenska...“**, lub **Cincika — „Barokove freska na Slovensku“**) po gospodarcze jak **Piszki — „Pestujte ovocne stromy“**.

Matica Slovenska obejmuje wszystkie dziedziny życia kulturalnego, wszystkich Słowaków, także żyjących na obczyźnie, a to pod hasłem: przez oświatę do wiedzy, przez wiedzę do siły narodowej i międzynarodowej.

Rozrywki umysłowe Nr 18/109

pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

III. KONKURS ZADANIOWY (D. C.).

ZAD. 5. — LOGOGRYF AKTUALNY (4 PUNKTY).

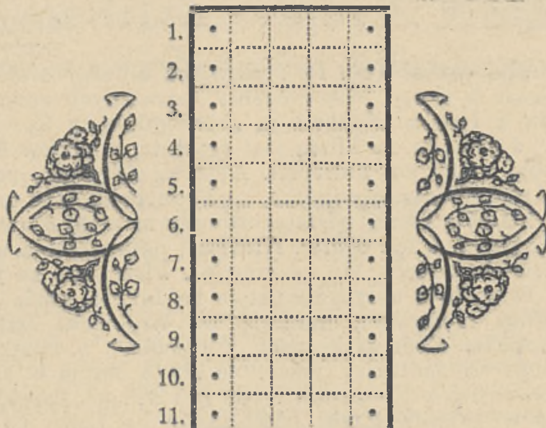
uł. **„Danuta“** — Kraków.

Znaleźć 12 wyrazów sześcioliterowych o podanym znaczeniu. Początkowe i końcowe litery dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. ptak drapieżny z rodz. sępów, 2. stół ofiarny, 3. podłe, 4. krzesło, fotel, tron, 5. olbrzymy mitol. gr. 6. amerykanin, nazwa gwar., 7 rodzaj sera, 8. rozkosznie, 9. niekiedy, 10 płód leśny, 11. dzida szczepów azjatyckich, 12. broń ochronna.

ZAD. 6. — LOGOGRYF ROCZNICOWY. (4 PUNKTY).

uł. **„Sumbra“** — czł. Kl. Szar.



W kratkach rysunku wpisać 11 wyrazów o podanym znaczeniu. Litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. znaczek metalowy, 2. drużyna, 3. imię męskie, 4. ptak śpiewający, 5. zmierzch, 6. muza pieśni miłosnych, 7. wystająca część ściany zewnętrznej, 8. żarząca się cząstka ciała palącego się (l. mn.), 9. nazwa nadawana mędrcom żydowskim, 10. stadion, 11 pisarz węgierski (1825—1894).

ZAD. 7. — SZARADA — WSPOMNIENIE (3 PUNKTY).

uł. **„Dziadek z Bakszty“** — czł. Kl. Szar.

Mahabharata oraz **Cała**
niejedną mądrość światu dała.
Od **raz-czwartego** myślę **trzeci**,
jaką tam walkę od stuleci
toczy cny Rama z złym Rawaną
o Sitę przez niego porwaną.
Jego duch-Wisznu, jak **dwa-pierwsza**
od wiersza snuje się do wiersza.
I błądzi tak między stokami,
z których głos Sity woła, mami.
Wspak czwór-wspak drugim się wydaje,
że egzotyczne Indów kraje
innych tajemnic mają wiele
w milionowym swoim ciele.

ZAD. 8. — ŁAMIGŁÓWKA GEOGRAFICZNA. (4 PUNKTY).

uł. **W. Nosé** — czł. Kl. Szar.

Odnaleźć i podpisać jedno pod drugim 12 wyrazów 5-literowych, według podanych znaczeń. Rząd środkowy czytany z góry na dół da aktualne rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto na Litwie, 2. państwo w Azji, 3. dawna stolica Japonii, 4. rzeka w Polsce, 5. wyspa na morzu Egejskim, 6. miasto powiatowe w woj. Warsz., 7. miasto w Estonii, 8. miasto nad zatoką Gdańską, 9. miasto w Grecji, 10. największa rzeka w Europie, 11. największa wyspa japońska, 12. kraj na południowych stokach Beskidów i Tatr.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z II. KONKURSU Z NR. 11/102.

Zad. 1. — Rebus: Ostatnia Brygada.

Zad. 2. — Szarada: Samson i Dalila.

Zad. 3. — Arytmograf: Oj, Nestor szaradzistów bardzo mądre, ale trudne układa zadania. Aby je rozwiązać, dużo trzeba włożyć pracy (Łapownictwo, jutrzenka, sądzić, ból, mużyk).

Zad. 4. — Konikówka: Cała natura jest chemią, a ród ludzki akademią, całe twe życie w tej szkole przepędzaj w ciężkim mozole, idź z trudnościami w zapasy, by w końcu grzankę swą upiec, a śmierć ci powie, żeś głupiec, i odda do pierwszej klasy. — „Epilog życia“ — Wład. Syrokomla.

KUPON Nr 18/109
ważny do 15 maja b. r.

Rozmaitości

C. O. P. A PROGRAM SZKOLNY.

Zainteresowanie Centralnym Okręgiem Przemysłowym jest olbrzymie nie tylko wśród dorosłego pokolenia, lecz i młodzieży szkolnej. W celu zaspokojenia tych potrzeb „Młody Zawodowiec“ wydał specjalny numer, poświęcony C. O. P. Zawiera on 20 mapek szkicowych i przeszło 40 rysunków w interesującym tekście. Pan wicepremier Kwiatkowski nadesłał do „Młodego Zawodowca“ własny autograf treści nast.: „Tylko moc gospodarcza, krzepiąca po przez świadomy i ofiarny wysiłek pokoleń, stanowić może twardą podstawę dla rozwoju i potęgi Państwa“.

NOC TAŃSZA OD DNIA.

Wsiadając w Warszawie, Berlinie, Wiedniu czy w Paryżu, wszędzie jednym słowem — około północy do taksówki, płacimy tak zwaną taryfę nocną, wyższą od dziennej. Apteka, sporządzająca nocą recepty, pobiera pewien naddatek. W tramwajach, co prawda tylko warszawskich, płacimy za przejazd nocą 100 proc. więcej. Restauracje — i to nie tylko w Warszawie — zdzierają z gości nocnych, ile się da...

Istnieje jednak miasto, gdzie życie nocne jest od 20 do 50% tańsze niż za dnia. Miastem tym jest Lisbona, stolica Portugalii. Po 11-ej w nocy lisbońskie restauracje, kawiarnie, kabarety, dancingi itp. lokale rozrywkowe obniżają ceny od 20 do 50%. Miłe miasto.

——oOo——

centy Witos. Pięćdziesiątki dochodzi, ma za sobą zasługi premierostwa w dniach bitwy warszawskiej, twardej orientacji czasu „wielkiej wojny“, nieustępliwości wobec zamieszek 1921 r. Ma przed sobą — Belweder, Brześć, i... Nawdział na siebie, jak niegdyś szlachcic kontuszowy, palone buty, w dni uroczyste nawdziewa czamarę, ale przy całej swojej manierze wsiowej, która u niego nie jest sztucznością, lecz powrotem do natury, ma w sobie — dla mnie przynajmniej — „coś z Piasta“, coś z tej ludzkiej przystępliwości Łokietkowej, gdy wielki król tułał się pośród grot Ojcowa, a przy tym i zrośniętego z urzędem dostojeństwa:

kiedy sieje, orze, miele,
co za godność, jakie wzięcie.

Jest jednak Witos przy tym wszystkim politykiem ze szkoły galicyjskiej, ściślej mówiąc Badeniowskiej — przypadło to moje określenie do smaku takiemu znawcy galicyjskiej ery autonomicznej jak Studnicki —, miewa „chwyty“ i „wolty“ zadziwiające, jest graczem kuluarowo-parlamentarnym, mówcą wiecowym, trybunem ludu, niedoszłym w końcu „Führer'em“.

Wyszedł oto na taras Pałacu Namiestnikowskiego (lepiej jeszcze czułby się we Lwowie „pod kawkami“), w towarzystwie starego druha i stronnika, Kuby Bojki, dziś również optymata i literata, niegdyś zaś — porówni z Witosem — stracha na wróble, czy raczej kawki szlacheckiej autonomii galicyjskiej. Widzę ich, jak posuwistymi przechadzają się krokami po tarasie, na którym sto lat wprzódy, gromadziła się zapewne „sosjeta“ **chez la princesse Zayontchek** lub później taki Henryk Rzewuski szeptał coś może poufnego do ucha srogiego kniazia „Erywańskiego“.

Ale nie takich tu tylko pan premier przyjmuje gości: Bojków, Średniawskich, Kowalczuków. Ci są „ważni“, ale między Bochnią, Tarnowem, Wadowicami, tych się załatwia samopas; lecz kiedyindziej, kiedy na pokoje premierowskie wali się Europa, nie „Galilea“, zaraz dzwoni do mnie na górę kolega Angerman, wówczas **secrétaire perpetuel de la Présidence**, że „pan premier prosi do siebie“.

Są bowiem te miesiące — od czerwca do września 1923 r. —porą wyjątkowo świetnych przyjęć, odwiedzin monarszych i ministerialnych, przeglądów i bankietów, rautów i przedstawień. Dopiero co opuścił Warszawę zwycięzca „wielkiej wojny“, pierwszy marszałek Francji trzeciorepublikańskiej Ferdynand Foch, co w hołdzie tutaj przybył **à toutes les gloires de la Pologne restaurée**, czcząc nie już jak przodkowie jego duchowi, Polskę jako „naród w żałobie“, ale — radujące się w podziemiach Wawelu kości bohaterów jej dotąd upokorzonych i — niezawodną patronkę jej z „jasnej Częstochowy“ i — niezłomnego księcia jej Thorwaldsena.

A teraz — z przeciwległego krańca Europy — zjechała nad Wisłę najpiękniejsza tej Europy królowa, Angielka z rodu, Rosjanka z postawy monarszej, wraz z małżonkiem — Hohenzollernem. — Za parą zaś królewską zjawili się na Zamku warszawskim dawno niewidziani tutaj goście: Bratianowie i Duki, następcy jakby tych Mohyłów i Costinów, dla których Rzeczpospolita była atrakcją i dla których stanowiła autorytet.

Zajaśniał na nowo w odświeżonych blaskach rokokowych zamek Stanisławowski, na którym — zgoła bez uroku tamtego Stanisława, płochego Muz kochanka — robił teraz honory inny Stanisław, pełen **austerité** republikańskiej; po śniadaniu u premiera miałem sposobność służyć jako tłumacz w rozmowie pomiędzy Bratianem a Witosem, pomiędzy kanciastym bojarem przedwojennym, co strzelać kazał „dorobantzom“ do swoich chłopów, a chłopem polskim, co dłoń wyciągać się **teraz** zdawał do swoich bojarów, wieczorem wreszcie w Teatrze Wielkim, przed wnuczką cara **„point de rêveries“**, roztańczył się przecudny balet, co swoją wszakże barwnością nie dorównywał feerii, której na imię było: rzeczywistość.

* * *

I innych gości jeszcze wielu za dni moich dostojnych gości przesunęło się poprzez podwoje pałacu Radziwiłłowskiego, jak ten n. p. sir John Hanbury Williams, marsz. dworu J. Kr. Mości Jerzego V, co tu szukać chyba przyjeżdżał śladów przodka swojego, a druha króla Stanisława; lub jak pan Feliks Calonder, co wtedy właśnie z gniazda swojego przenosił się na śląskie równiny, lub nareszcie — ksiądz kanclerz Seipel, co, wraz z ministrem swoim Grünbergerem, przybywał się pokłonić imieniem pomniejszonej Austrii Polsce, która, w łonie wielkiej niegdyś Austrii, godziła się być Piemontem, lecz przenigdy Tyrolem.

Więc kiedy — na wielkiej sali Pałacu Namiestnikowskiego — powstał w czasie bankietu Witos, zwracając się do gości wiedeńskich, i jął mówić z powagą (choć nie bez charakterystycznego chwilami szeplenienia): „Księże kanclerzu i panie ministrze!...“, pomyślałem sobie, że podobnież „trybun ludu szlacheckiego witać mógł niegdyś pomniejszonego Maksymiliana.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Jedną z wielu tajemnic w historii Kościoła we Francji był kościelny pogrzeb Diderot'a.

Został on pogrzebany po nabożeństwie kościelnym w kościele parafialnym św. Rocha. On, Diderot, wróg katolicyzmu, — on, razem z d'Alembert'em, główny redaktor osławionej Encyklopedii, która w wysokim stopniu przyczyniła się do zachwiania religijności w sferach wykształconych Francji.

Było wówczas trzech głównych wrogów katolicyzmu: Voltaire, Diderot i d'Alembert (nie licząc mniejszych)... Voltaire — podobno — na łożu śmierci chciał się pojednać z Kościołem; jego przyjaciele jednak nie dopuścili księdza. Umarł w r. 1778 i został pogrzebany bez udziału przedstawiciela Kościoła, choć się rodzina o to starała. D'Alembert umarł w r. 1783 i również nie miał chrześcijańskiego pogrzebu. Natomiast pogrzeb Diderota odbył się przy udziale Kościoła.

PROBOSZCZ ŚW. ROCHA.

Przez dłuższy czas oskarżano proboszcza par. św. Rocha, ks. Marduel, że uległ namowom rodziny Diderota. Byli także tacy, którzy go oskarżali o wzięcie „łapówki". Istnieje podobno na ten temat duża „literatura". Ostatnio nowe i nieznane szczegóły w tej sprawie ogłosił skromny biuletyn parafialny, „Massager de Saint Roch" (Paris).

Autor tego wywodu historycznego, H. Couget, ustalił naprzód, że ówczesny proboszcz św. Rocha, ks. Marduel, był księdzem wielkich cnót i chybiają celu wszelkie podejrzenia przeciw niemu o lekceważenie przepisów kościelnych lub przekupstwo. Następnie — na podstawie nieznanych po większej części pamiętników, wspomnień itd. — stwierdza, że Diderot tuż przed śmiercią wyraził gotowość pojednania się z Bogiem, ale mu przyjaciele przeszkodzili w wykonaniu tego postanowienia.

Sprawa miała przebieg następujący:

PRZY ŁOŻU ŚMIERCI DIDEROTA.

Diderot zachorował poważnie wiosną 1784 r. Mieszkał wówczas na terenie parafii św. Sulpicjusza. Miał przy sobie młodego, religijnego studenta, chirurga, którego wychował. Ten się nim opiekował. Otóż ten chłopiec widząc wielkie boleści Diderota, miał mu powiedzieć:

— Cierpi pan i ja cierpię... Cierpię dlatego, że pan cierpi bez nadziei na lepszy żywot.

Rozmowa zeszła na świat pozagrobowy. Diderot sam wyraził gotowość pojednania się z Bogiem i sprowadzenia księdza... I tu zaczyna się romantyczna historia, żywcem przypominająca historię z J. Lelewelem... Mgr Sausin, biskup z Blois, zanotował w swych pamiętnikach:

„Jego (Diderota) przyjaciele domyślając się jego zamiaru (pojednania się z Bogiem) uprowadzili go w powozie pod pozorem zapewnienia mu wiejskiego powietrza". Przewieźli go na teren parafii św. Rocha, i tu umarł 30 lipca 1784 r., otoczony „czułą" opieką przyjaciół, którzy postanowili nie dopuścić księdza do niego. Proboszcz parafii św. Rocha uwiadomiony o tych szczegółach, zgodził się na chrześcijański pogrzeb Diderota. Zapewne jego zachowanie się nie odpowiadało przepisom kościelnym (Diderot nie zostawił żadnego śladu odwołania swoich błędów w sprawach religijnych); przytoczone jednak szczegóły stanowią przynajmniej psychologiczne wytłumaczenie kroku ks. Marduel.

Ma ta sprawa jeszcze inne znaczenie... Potwierdza stare powiedzenie Origenesa, że dusza ludzka jest „ze swej natury chrześcijańska". Nawet w ateiście odzywają się w ostatniej chwili wyrzuty sumienia i chęć powrotu do Boga... O niczyim zatem zbawieniu nie można wątpić.

WYMUSZONE PRAKTYKI RELIGIJNE.

Przed jakimś czasem nadeszła z Bukaresztu wiadomość, że obecny rząd rumuński, chcąc przeciwdziałać bezbożnictwu, wydał urzędnikom nakaz brania co niedzielę udziału w nabożeństwie w cerkwi. Sądzę, że żaden katolicki rząd nie zdobyłby się na takie, bezsensowne, zarządzenie. Ci, co je wydali, sądzą widocznie, że religijność można nakazać. Jest to błąd, który się mści najczęściej na samej religii, w której interesie się takie nakazy wydaje. Przymus praktyk religijnych ma swe uzasadnienie tylko w stosunku do młodzieży, więc w okresie formowania się zasad i charakteru człowieka; a i wtedy winien być stosowany z całą roztropnością, której wymaga wzgląd na psychologię człowieka. Ale w stosunku do człowieka dojrzałego jest bezcelowy i szkodliwy. Wywołuje skutek często przeciwny zamierzeniu, z religii czyni coś obcego i narzuconego, wyziębia duszę.

Agencja londyńska „ Reutera" w związku z zarządzeniem rumuńskim donosi, że w Anglii właściwie, formalnie, obowiązuje dotąd „prawo" królowej Elżbiety z 16 w., które — idąc jeszcze dalej niż rumuńskie — wszystkim obywatelom angielskim nakazuje być w każdą niedzielę na Mszy, i to pod karą jednego szylinga. „Prawo" to nie zostało dotąd uchylone... To było w 16 w. A działo się za życia „reformatorki" religijnej w Anglii, która — jak wiadomo — nawet na swój czas stanowiła osobliwy typ „gorliwości" religijnej. Ale w wieku 20...

LITWA.

„La Croix" (20. IV.) poświęca dłuższy artykuł Litwie z okazji przywrócenia normalnych stosunków z Polską. Nazywa ją „beniaminkiem Kościoła" z powodu, że Litwa jest ostatnim z krajów Europy, który się nawrócił. Autorka artykułu, pani de Grandvelle, oświadcza, że Francuzi „słabo znają historię Litwy". Dlatego uważa za swój obowiązek pouczyć ich o niej. Niestety, nauczycielka wie niewiele więcej, niż uczniowie... Pisze np., że już w 10 w. było chrześcijaństwo na Litwie, gdzie (!) zginął męczeńską śmiercią św. Wojciech. Dalej, Tadeusza Kościuszkę robi „Litwinem", a o latach Litwy niepodległej pisze, że „była ciągle w stanie wojny z Niemcami". Nic nie wie o „Tarybie" i o wielkim wpływie niemczyzny na Litwę po r. 1918, kiedy to np. na uniwersytecie kowieńskim powszechnie używano podręczników niemieckich...

Jesteśmy bardzo zadowoleni z nawiązania stosunków z Litwą. Litwa jest nam w gruncie rzeczy sympatyczna. Ale, co prawda, to prawda...

Pejot.

Z obcej niwy

Zmysł katolicki

Ukazało się piękne studium kardynała Baudrillart o charakterystyce tego stanu ducha, który nazywamy poczuciem, zmysłem lub instynktem katolickim (Card. Baudrillart: „Sensus catholicus", odbitka z „Revue d,Apologetique").

W skarbcu językowym katolicyzmu istnieje termin „sensus catholicus", którym się nieraz posługujemy. Oznacza on to głębokie i całkowite przejęcie się zasadami katolickimi, sprawiające, że człowiek w każdej niemal sytuacji życiowej bez długich wahań i namysłów znajduje od razu katolicki punkt widzenia i katolickie rozwiązanie.

Zasadniczym składnikiem instynktu katolickiego jest t. zw. „uniwersalizm", który panuje nad myślą katolicką w dziedzinie wiary jak i filozofii i nadaje umysłowości katolickiej pewien ton społecznej bezosobowości.

Świadomy i wykształcony katolik — pisze O. Woroniecki — w całym swym rozwoju umysłowym czuje się członkiem wielkiego żywego organizmu, jakim jest Kościół i zdaje on sobie sprawę, że w jego życiu duchowym, dużo większej wagi są te czynniki odwieczne, które ze skarbca wiary i wiedzy minionych pokoleń zaczerpnął, niż te drobne przyczynki, które sam do tego skarbca dorzucił, doszedłszy do nich swym własnym wysiłkiem... Tu mamy mocne podłoże światopoglądu katolickiego: nie jest ono i być nie chce własnym wynalazkiem każdej jednostki, tak jak tego partykularyzm żąda, ale winien stać się do tego stopnia jej własnym dobrem i przeniknąć jej ducha, aby w razie potrzeby nie zawahał się życie zań oddać. To znaczy „sentire cum Ecclesia" (por. „U podstaw kultury katolickiej" 29).

Dalsze objawy „sensus catholici" — to apostolstwo i przyczynianie się do rozwoju wiary. Papież Leon XIII w swej encyklice „Sapientiae Christianae" wyliczając obowiązki katolików, wielki nacisk kładzie na ten obowiązek śmiałego wyznawania wiary i jej obrony. Podobnie Pius XI stara się w swych encyklikach i listach o akcji katolickiej zapalić katolików pragnieniem czynu apostolskiego i misyjnego.

Pragnienie przyczynienia się do dobra Kościoła jako całości jest jednym z najdoskonalszych objawów zmysłu katolickiego. Droga do tego wiedzie przez wniknięcie w cel, idee i zadanie Kościoła, w jego potrzeby duchowe i materialne, trudy, walki i niebezpieczeństwa. Wtedy będziemy jedno z Kościołem.

Łączność z hierarchią kościelną, z papieżem, biskupem, nazywa kardynał Mercier „zmysłem kościelnym", który powinien wyrabiać w sobie każdy członek Kościoła. Czuć, myśleć, chcieć tego samego, co Kościół przez swą prawowitą władzę — to „sentire cum Ecclesia". Wtedy posłuszeństwo będzie łatwiejsze, choćby nawet ofiar wymagało.

W zdobywaniu zmysłu katolickiego chodzi przede wszystkim o właściwe patrzenie na Kościół. Wielu jest wielbicieli, wyrażających się o nim z uznaniem, a nawet broniących praw Kościoła, a jednak patrzących nań tylko z punktu spraw i celów doczesnych. Widzą oni w Kościele jedynie instytucję potężną, zasłużoną, ale tylko ziemską. Takie stanowisko jest błędne i szkodzące działalności Kościoła.

Poczucie katolickie — to przede wszystkim przemyślane aż do ostatecznych konwencji nauki Kościoła. Głęboka wiara, że Kościół jest nadprzyrodzonym żywym organizmem Chrystusowym — to pierwszy stopień „sensus catholici". Dalszym stopniem będzie pozytywne odnoszenie się uczuciowe do spraw Kościoła t. zn. miłość i szacunek do instytucji Bożej, radość z triumfów Kościoła, smutek z prześladowań i szczere w życiu praktycznym interesowanie się sprawami katolicyzmu.

„Masoneria i państwo stały się jednym"

W czasopiśmie meksykańskim „Crisol" (Probierz) z sierpnia 1929 r. ukazało się takie oświadczenie następcy Callesa, prezydenta Portes Gila:

„W Meksyku w ciągu lat ostatnich państwo i masoneria stały się jednym i tym samym. Są to dwie instytucje, które stoją obok siebie, bo ludzie, w ostatnich latach stojący u władzy, zawsze się solidaryzowali z rewolucyjnymi celami masonerii". Dziełem tych ludzi, conajmniej „solidaryzujących się w rewolucyjnymi celami masonerii" była konstytucja meksykańska, której artykuł 3 mówi: „Wychowanie udzielane przez państwo ma być socjalistyczne. Ma być wykluczone nie tylko wszelkie nauczanie religii i szkoła musi walczyć z fanatyzmem i przesądami". Ich dziełem prześladowanie religii, oni są autorami osławionych instrukcyj szkolnych, w myśl których dzieciom od zarania życia wpajane być winno przekonanie, że „wiara jest produktem strachu i nieświadomości", cała nauka udzielana w duchu materializmu historycznego a nauczyciele wybierani „jedynie spośród osób wyznających ideologię socjalistyczną".

Katolicyzmu masoni, choć rozporządzali całym aparatem administracji państwowej, w Meksyku nie zgnietli, jak nie zdolni byli uczynić tego i gdzie indziej. W walce ducha z materią, duch bowiem zawsze pozostaje zwycięski. I oto jesteśmy świadkami odradzania się, a ściślej budzenia się z odrętwienia, katolicyzmu meksykańskiego. Zamknięte świątynie powoli znów otwierają swoje podwoje, życie religijne kraju żywszym bije tętnem, a osławiony przywódca marksistów meksykańskich profesor Lombardo Toledano musi pod naciskiem studentów swoich w uniwersytecie stolicy, zrzeszonych — o zgrozo — w katolickich stowarzyszeniach, ustąpić z katedry profesorskiej.

Głównego więc swego celu: zduszenia nienawistnego chrześcijaństwa, masoneria w Meksyku nie osiągnęła. Wzmogła natomiast elementy komunistyczne i uczyniła z tego kraju ośrodek pożaru, który ogarnąć może całą Amerykę. Z faktu tego dopiero teraz poczynają sobie zdawać sprawę masoni Stanów Zjednoczonych, którzy byli przewodnikami i faktycznymi instruktorami masonerii dzierżącej władzę w Meksyku, i biją na alarm. Dążeniem ich obecnie jest zorganizowanie wspólnej akcji międzynarodówki kapitalizmu przeciw Meksykowi posiłkując się przy tym tendecjami imperializmu anglosaskiego. Grozi to niepodległości Meksyku. Dla tego też prawdziwi patrioci meksykańscy coraz wyraźniej dostrzegają, że jedynym ratunkiem dla ich kraju jest jak najrychlejsze zerwanie z dotychczasową polityką, przepędzenie masonów, powrót do dawnych praw a przede wszystkim udzielenie wolności religijnej narodowi. Pokój wewnętrzny oparty na chrześcijańskich zasadach życia zdusi zarówno bolszewizm, narzucony przez masonów z rządu, jak i usunie niebezpieczeństwo również przez masonów przygotowywanej interwencji obcej z zewnątrz.